

La Banda Oriental. Konstrukcja bez pytań nadprzyrodzonych?

Ks. Jarosław Tomaszewski

Minęły już prawie dwa lata od chwili, kiedy – po bardzo długiej i prawie w stu procentach przespanej podróży lotniczej – wysiadłem na płycie lotniska w urugwajskim Carrasco. O państwie nazywanym Urugwaj wówczas nie wiedziałem prawie nic. Gdy pierwszy raz rozmawialiśmy z biskupem Fuentesem o palących potrzebach jego biednej diecezji, przez głowę przebiegały mi rozmaite skojarzenia: Paragwaj, nie wiem, dlaczego z daleka bliższy mi niż Urugwaj, Forlán, Suárez i Cavani, pampa, konie i dalej białe, niezapisane niczym strony. Lotnisko w Carrasco jest niewielkie, bo też niewielu ludziom podoba się wybierać gdzieś na koniec świata. Za to pierwszy raz w Ameryce Łacińskiej poznałem tak skomplikowany system odprawy podróżnych i kilometrowe kolejki do okienek celników. Potem, z biegiem czasu, zacząłem rozumieć więcej. To nie Europa. Reguł zdroworozsądkowych tu nie ma. Biało-czarnej moralności też nie. Latynosi z czegoś muszą przecież żyć, rzeczywistość więc najczęściej przymruża jedno oko. Zapewne bezwzględny odruchem współczesnego podróżnika, po szczęśliwym odzyskaniu bagażu, jest natychmiastowe podłączenie się pod sieć komórkową. Nigdy nie zapomnę pierwszego SMS-a, który dotarł do mnie z Polski. Wysłał mi go trochę żartem ks. Stefan, znawca tego regionu. Wiadomość tekstowa odebrana w Urugwaju z Polski była autentycznym, a zarazem żartobliwym cytatem wypowiedzi anonimowej stewardesy, która przywitać miała kiedyś podróżnych w Montevideo następującym komentarzem: *Bienvenido a la República Oriental del Uruguay, que tiene tres millones de habitantes, que comparten su territorio de 187.000 km cuadrados, con veintitres millones de ovejas y diez millones de vacas*. Dla niewtajemniczonych w zawilgości pięknego języka hiszpańskiego – wiadomość ta wyjaśniała mi, że oto znalazłem się

w kraju, który zamieszkuje około trzech milionów mieszkańców, mieszczących się na stu osiemdziesięciu siedmiu tysiącach kilometrów kwadratowych terytorium swego państwa, dzieląc przestrzeń życiową z dwudziestoma trzema milionami owiec i dziesięcioma milionami krów.

Te proporcje nie są wyssane z palca – przeciwnie: paradoksalność statystyczna, etniczna, społeczna i światopoglądowa to stała cecha tego małego kraju, polityczną przebiegłością Anglików, w drugiej połowie osiemnastego wieku, na siłę wciśniętego między imperium hiszpańskie na południu – Argentynę oraz dominium portugalskie na północy – Brazylię. Najpierw tereny, które dziś tworzą terytorium Urugwaju, wchodziły w skład kolonialnych latyfundiów Hiszpanii, nosząc stosowaną czasem do dziś nazwę La Banda Oriental, czyli Wschodni Brzeg. Potem swoje dyplomatyczne palce w rejon La Platy usiłovali wepchnąć wspomniani już Anglicy, nieco zazdrośni o hiszpańsko-portugalską dominację na całym kontynencie Ameryki Południowej. I tak, wskutek machinacji politycznej synów Albionu, tereny dawnej Bandy Oriental zaczęły przejawiać żywą chęć autostanowienia, która dopełniła się sukcesem niezależności państwowej, ogłoszonej w roku 1830. Tak powstała Wschodnia Republika Urugwaju.

Myślę, że Urugwaj jest jedynym krajem świata, w którym połowa populacji narodu żyje w stolicy państwa Montevideo. Miasto położone nad La Platą nie jest wielką metropolią, za to na pierwszy rzut oka szokuja tu skrajności: od dzielnic elit po zaułki nędzy. Od pięknych, kolonialnych zabytków po nieład, brud i wilgoć. Od strzeżonych przez policję zagranicznych wycieczek po niewyjaśnione zabójstwa nocą i od ekspozycji prac latynoskich artystów na wybrzeżu po handlarzy narkotyków, których tutaj nigdy nie brakuje. Z zawiłości i paradoksów polityki zrodził się Urugwaj, w wielu podobnych zawiłościach kształtuje się dziś jego współczesne oblicze. Szanowny turysta opuszcza Montevideo, aby zaraz poznać od nowa krainę pełną bogatych niespodzianek, pytań i sporów: Urugwaj to kraj biednych czy bogatych? To państwo o ustroju demokratycznym czy też oligarchia, którą politycy łatwo mogą kontrolować? Czy ten naród wytworzył już własną kulturę, czy też wszystko w Urugwaju jest jedynie kopią obyczajów wielkiej, sąsiedniej Argentyny? I gdzie tak naprawdę

powstało tango oraz gdzie najczęściej śpiewał Gardel: po wschodniej czy zachodniej stronie La Platy? Coraz częściej jestem przekonany, że na te wszystkie wątpliwości nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

Dla nas jednak najbardziej palącym zagadnieniem Urugwaju jest jego przysłowiowy, osławiony, dogmatyczny, nienaruszalny i rzeczywiście imponująco silny ateizm, areligijność i laicyzm. Jak do tego mogło dojść? Że pomiędzy oceanem wiary chrześcijańskiej, czyli katolicką Argentyną, a morzem duchowego pobudzenia ewangelicznego, czyli Brazylią, udało się jakimś sposobem pozbawić trzech milionów dusz ludzkich jakiegokolwiek odruchu duchowego? Jak to możliwe? Czasem niektórzy żartują, że Urugwajczyk jest mocnym argumentem przeciwko twierdzeniom pierwszego paragrafu Katechizmu: otóż nie zawsze z natury swej człowiek otwarty jest na Boga. W kraju tym praktykuje wiarę katolicką może dwa procent jego mieszkańców – natomiast innej konkurencji religijnej nie widać. Mój biskup stan duchowy Urugwaju nazywa z przekąsem ignorancją obowiązkową – wpojoną wszystkim, równo, pedagogicznie od dziecka. Ateizm stanowi bowiem kręgosłup urugwajskiej konstytucji od wieków. Zręczna inżynieria dusz doprowadziła do powstania eksperymentalnego społeczeństwa, w którym zasadą jest nieświadomość rzeczywistości nadprzyrodzonej. Proces ten, moim zdaniem, składa się z trzech momentów postępowych, które warto prześledzić, z ogromnym pożytkiem dla potomnych.

1. Efekt Vareli

Profil José Pedra Vareli, uchwycony nawet już na pierwszych jego fotografiach, jest zdecydowanie marksistowski. Varela to mężczyzna o surowym wzroku. Ostrza i pioruny jego oczu przecinają anachroniczne więzy aktualnego czasu. On patrzy zawsze dalej, gdzieś tam bowiem znajduje się idealna odpowiedź, owo tu i teraz jest natomiast z reguły godne reformowania. W epoce, w której przypadło mu żyć, podróż do Europy była społeczną nobilitacją. Status materialny rodziców młodego José Pedra pozwalał na taki kaprys. Sen europejski sentymentalnego idealisty dopełnił się w latach 1867–1868. Podczas wyjazdu na Stary Kontynent Varela nie marnował czasu, zaprzyjaźniając się przede

wszystkim z Victorem Hugo, wybitnym pisarzem, który początkującego wówczas, urugwajskiego socjologa i myśliciela szeroko wprowadzał w myśl Auguste’a Comte’a. Comte na zawsze będzie już przewodnim autorytetem, natchnieniem i mistrzem w późniejszych latach i działaniach Vareli. Z Paryża do Urugwaju młody filozof wraca przez Stany Zjednoczone, gdzie z kolei zawiera dobrą znajomość z argentyńskim liberałem Domingiem Faustinem Sarmientem. Natchniony ideologiczną, europejską pielgrzymką Varela postanawia bez zwłoki włączyć się w proces społecznej reformy Urugwaju.

Co prawda, nie jest mu łatwo, ponieważ w kraju dochodzi wówczas do głosu surowa dyktatura pułkownika Latorrego, z którym José Pedro nie chce mieć na początku nic wspólnego. Varela jest lewicowym ideowcem, a dyktator Latorre pragmatykiem. Varela nosi swą głowę wysoko, dumnie, jak czerwony sztandar rewolucji, co pozwala zachować mu ostentacyjny dystans wobec wszelkich barbarzyńskich knowań i układów. Za to Latorre chodzi po ziemi. Pułkownikowi potrzebny jest ktoś właśnie taki jak Varela – człowiek spoza mundurów. W roku 1876 zawierają dwulicową umowę. José Pedro ustala sam w sobie, że na ducha rewolucji nad La Platą można czekać w nieskończoność, a wielka idea lewicowa domaga się czynu już dziś. W rządzie krwawego Latorrego Varela odpowiada za edukację, którą szybko zamienia w propagandę. Naczelnym hasłem wychowawczego eksperymentu ministra szkolnictwa w rządzie dyktatora jest szkoła obowiązkowa dla wszystkich, bezpłatna i... laicka – co od tego momentu w Urugwaju oznaczać będzie: fanatycznie ateistyczna, a nawet antychrześcijańska. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość ministrowi edukacji – jak twierdzą niektórzy urugwajscy historycy – i zaznaczyć, że sam Varela był lewakiem, który w wychowaniu chrześcijańskim widział jeszcze czysto praktyczny, humanistyczny sens. Wiary więc nie dopuszczał do głosu, ale zalecał, by dzieci w szkołach państwowych umiały *Ojciec nasz* – zapobiec to miało drastycznej separacji historycznej i pochopnemu wykorzenianiu z kulturowego kontekstu.

Ale tak jak sam José Pedro Varela, niesiony natchnieniem ideologicznej reformy, padł nagle w kwiecie swej młodości, rażony nieuleczalną gruźlicą, tak cały stworzony przez niego system

pedagogiczny Urugwaju lewicową toksynę sączy, multiplikuje i podtrzymuje do dziś. Edukacja Urugwajczyków może wydawać się porażająca. System wychowania publicznego polega bowiem na negowaniu chrześcijaństwa: od przekazu etycznego przez wizję człowieka aż po skrajnie antyklerykalną interpretację historii, przekazywaną systematycznie, metodycznie i regularnie młodym pokoleniom nad La Platą. Pamiętam, jak kilka miesięcy temu zgłosiła się do mnie studentka księgowości, która musiała zdać również egzamin z pedagogiki. Zmagania z humanistyczną treścią nie szły jej jakoś na rękę, dlatego wzywała pomocy. Pomogłem, a przy okazji naczytałem się miejscowej propagandy, w której leitmotivem podkreślonym na czerwono było tendencyjne rozróżnienie modelu rodziny nazywanej tradycyjną, chrześcijańską, zwiędłą, anachroniczną, męsko-damską z dziećmi, od nowożytniej pary, wyzwolonej, płciowo dowolnej i w pełni moralnie swobodnej. Tak tutaj od wieków naucza się wszystkich. Katolików do szkół oficjalnie się nie wpuszcza.

2. Batllizm

Z czasem reforma edukacji autorstwa Vareli, wyglądając swych pierwszych sukcesów, przeobraża się w bardziej zorganizowane działanie systemowe pod postacią tak zwanej ideologii batllizmu. Na początku dwudziestego wieku do władzy w tym rejonie La Platy dochodzi ugrupowanie, które w historii Urugwaju cieszyło się zmiennym szczęściem: od entuzjazmu po całkowite odrzucenie. Partia Kolorowych („Colorado”) ze skutecznym zaangażowaniem zaczyna wprowadzać w życie społeczne coś, co nazywa ideologią batllizmu. Nazwa typowo masonskiego i ateistycznego systemu pochodzi od jego twórcy – prezydenta dwóch kadencji w Urugwaju: José Batlle y Ordoñez – po trochu dziennikarza, po trochu polityka, który w roku 1913 wydaje swoje dziełko *Apuntes*, kreśląc w nim śmiały plan budowy La Banda Oriental na bazie swoistego humanizmu i liberalizmu. Tak naprawdę jednak jądrem programu Batlle y Ordoñez jest ideologiczna laicyzacja urugwajskiego świata, silny antyklerykalizm i zupełna, ale to zupełna separacja państwa od religii katolickiej – prezydent jest tu drastycznie radykalnym egzekutorem testamentu ideowego Vareli. Skąd ta wrogość wobec chrześcijaństwa?

Jak zawsze z ludzkiej ułomności. Naprawdę niezmiernie rzadko ten lub inny modernizm rodzi się w zwojach mózgowych konkretnego myśliciela – z reguły pobudki obrazoburcze pochodzą z niższego poziomu niż głowa. Niemordowaną inspirację dla wpływowych elit politycznych od wieków po wiek wieków stanowi Henryk VIII, który zmienił moralność i wiarę, gdy pokłócił się z Papieżem. Batlle y Ordoñez natomiast był uczuciowym Latynosem. Zakochał się więc raz i ożenił, a potem szybko wściekł się na swoją panią i publicznie zażądał rozwodu. W owych czasach nad La Platą działa jednakże i cieszy się ogromnym wpływem Liga Kobiet, która nie ukrywa swych sympatii katolickich. Mapa Ameryki Łacińskiej, to prawda, czasem zbyt równo i boleśnie, dzieli się na eleganckich, bogatych i wpływowych, którzy chodzą do kościoła, i na resztę świata ze wszystkich przedmieść na lewo. Po skandalicznym rozwodzie prezydenta, który nie powstrzymał się od publicznych zniewag pod adresem małżonki, katolicka Liga Kobiet staje w obronie skrzywdzonej niewiasty, nie szczędząc swemu przywódcy słów moralnego potępienia. Polityk nie tylko nigdy nie przełknie tego, kto i jak go obraził, ale natychmiast urażoną dumę zamieni w ideologię.

Batlle y Ordoñez opiera swój plan na doświadczeniach francuskiego jakobinizmu, wszak działacze Partii Kolorowych z rewolucjonistami paryskimi łączy jedna loża masońska – jest tylko subtelna różnica między Francją a Urugwajem, a mianowicie tu, w Ameryce Łacińskiej, do masonerii należy się z chlubą i oficjalnie. We Francji efekty ideologicznych, masońskich usiłowań przyniosły połowiczny skutek, za to w Urugwaju batllizm działa do dziś. Zatem wzorem jakobinów, lecz już na stałe, Batlle y Ordoñez dokonał transformacji mentalnej świata – z wizji chrześcijańskiej na jej podrobione protezy. Jak to wygląda? Bardzo prosto: do dzieła rusza machina propagandy, której fundusze są tak ogromne, że wobec ich potężnych nakładów niewiele zdziałać może proste przepowiadanie ubogich misjonarzy. Kiedy więc Kościół przygotowuje swoich wiernych do przeżywania świąt Bożego Narodzenia, batllizm przekłada wajchę i w oficjalnej propagandzie zastępuje tę chrześcijańską uroczystość zaproszeniem na Dzień Plaży, tudzież Tradycyjne Święto Rodzin. Gdy świat chrześcijański usiłuje skupić swego ducha na misteriach wielkopostnych, batlliści tańczą

w upojnej gorączce karnawału, wszystkich zapraszając do tanga, samby, techno lub flamenco. A kiedy Kościół Niedzielą Palmową inicjuje Wielki Tydzień, władza wywozi ludzi na Tydzień Turystyki. Tak to działa i o wiele bardziej. Przybijanie chytrej, laickiej nomenklatury do pamięci mieszkańców orientalnego społeczeństwa jest naprawdę skuteczne. Po latach ogromna większość nie ma tu pojęcia o duszy. Już na początku swego pobytu w Aiguá, miasteczku mojej pierwszej urugwajskiej placówki, zaprzyjaźniłem się z Arielem i jego żoną Margaritą, którzy tutaj – z własnych środków, jak szaleńcy – utworzyli publiczne muzeum. Pewnego dnia Ariel pokazał mi znaną gdzieś w śmieciach, starożytną kronikę miasteczka. Ono dziś nazywa się tylko Aiguá, lecz tak naprawdę od początku nosiło nazwę San Antonio de Aiguá. Niby niewinnej redukcji dokonano podczas pierwszego spisu administracyjnego w państwie za rządów Batlle y Ordoñez. To było cechą charakterystyczną administracji urażonego w swej pysze prezydenta – i to wtedy też, na początku dwudziestego stulecia, z wielu zakątków Urugwaju, jakby jedną ciemną nocą, usunięto wszelkie nazwy chrześcijańskie: San Miguél, San Andrés, San Ramón i inne, podstawiając w to miejsce rewolucyjne 25 de Mayo lub 18 de Julio.

3. Nasz Pepe

W Europie – pewnie dlatego, że dla dominujących w niej dziś środowisk lewicowych sentymentalistów temat ten jest krępujący – bardzo mało pisze się i mówi o politycznym planie, który z kolei w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia miał fundamentalne znaczenie dla ocalenia wolności i kapitalizmu świata nad La Platą. Myślę tu o planie nazywanym „Condor”, który w opozycji wobec moskiewsko-kubańskiego komunizmu zjednoczył trzy prawicowe junty wojskowe: Pinocheta z Chile, Videli z Argentyny i Bordaberry’ego z Urugwaju. Bardzo trudno jest dokonać historycznego i moralnego balansu tego czasu. Zabierając się do analizy planu „Condor”, wielu doświadcza konfuzji. Z jednej bowiem strony rządy wojskowych w tych trzech kluczowych politycznie krajach Ameryki Południowej to epoka krwawych prześladowań, aresztowań i restrykcji. To cios pod stołem i brzydki zabór demokracji. Z drugiej strony, gdyby nie brutalna taktyka Pinocheta, Videli

i Bordaberry’ego, demokracja – oddana po bolesnych czystkach ponownie w ręce ludzi – już w latach sześćdziesiątych tutaj przekształciłaby się rewolucyjnie w koszmar moskiewsko-kubańskiej demokracji ludowej. To dlatego nikt nie jest w stanie udzielić pozytywnej bądź negatywnej odpowiedzi na pytanie o etyczną ocenę planu „Condor”. Krew za krew. Choć przepraszam: ci, którzy dziś zarządzają Urugwajem, myślą jednoznacznie – dopiero teraz Banda Oriental kroczy we właściwą stronę. Wskutek złożenia bowiem władzy przez wojskowych na wysokie stołki, paradoksem plebiscytów, wdrapali się po latach ci, którzy w czasie militarnej junty usiłowali do pałaców wnosić czerwone sztandary, chowali się po studniach lub ginęli rozstrzeliwani na placach – *guerrilleros*, komunistyczni partyzanci, przyjaciele Fidela, dawniej zgrupowani w bojówce noszącej nazwę „Tupamaros”, dziś wbici w eleganckie garnitury rządzącej partii Frente Amplio. A na ich czele idol biedaków – nasz Pepe.

José Alberto Mujica Cordano pochodzi z prawicowej rodziny baskijskich emigrantów. Jest jednak z przekonania komunistą i jednym z głównych twórców „Tupamaros” – partyzantki, która w latach sześćdziesiątych usiłowała w Urugwaju instalować system kubańskiej rewolucji. Biografia Pepe Mujicy posłużyć może za materiał do znakomitego filmu sensacyjnego: pościgi i zabójstwa, kradzieże i pojedynki, ukrywanie się i zdrady. W końcu Mujica, osadzony przez wojskowych w stołecznym więzieniu w Punta Carretas, wita się prawie ze śmiercią – na jej progu jednak, w roku 1985, zastaje go niespodziewanie amnestia. Pepe sprawnie przypina się do polityki, a w roku 2009, grając bezkarnego populistę, zgarnia większość głosów, osiągając prezydenturę. Od tego czasu Urugwaj to dwie reakcje człowieka: wykształconego, który, słuchając sentencji Mujicy, przeklina lub przynajmniej zatyka sobie uszy, oraz biedaka, robotnika albo żebraka, który w tym samym momencie uśmiecha się błogo i wzdycha: nasz Pepe. Światu znany jest z tego, że jako prezydent bawił się w Janosika, nie mieszkał wcale w pałacu, lecz na wsi, chodził w gumiakach, a koszula wystawała mu ze spodni. Salony europejskie mdlały z zachwytu. Moje osobiste zdumienie sięgnęło szczytu rok temu, gdy całą laurkę pochwał urugwajskiego prezydenta przeczytać mogłem na jednym z popularnych polskich, katolickich portali: że ludzki jest

to polityk – dowodził duchowny autor artykułu pisanego na odległość – nie wynosi się, grzebie motyką w ogródku i gada slangiem jak wszyscy. Jak łatwo zapomina się nam o zdroworozsądkowym myśleniu. Ten podobno ludzki polityk całkowicie odpowiedzialny jest za wprowadzenie w Urugwaju wszystkich moralnych eksperymentów, które jednym pociągnięciem pióra, wykańczając intuicję Vareli i Batlle, zafundowały Bandzie Oriental poważną, społeczną agonię, legalizując w początkach nowego tysiąclecia homoseksualne związki, aborcję, eutanazję na życzenie oraz – pierwszy raz w historii świata – dostępną dla wszystkich marihuanę.

* * *

Podczas sprawowania Mszy świętej, w chwilach refleksji, lubię patrzeć na ludzi obecnych w kościele. Nigdy nie ma tłumów i właściwie od pierwszych miesięcy każdego zna się tutaj osobiście, nieco potem zaraz z życiorysu – choć wiele zależy od stopnia zaufania. Taka więc w pracy duszpasterskiej jest czymś niepowtarzalnym. To przewaga Urugwaju: spowodowany ograniczoną ilością parafian dostęp osobisty do każdego. Czasem przychodzą chwile, w których dosięga mnie pokusa liczenia ludzi w ławkach. Szybko staram się jednak otrząsać z odrętwienia i raczej dochodzić do pojedynczego człowieka, skracać dystans, poznawać, rozumieć, przemilczeć, zaradzić. Nie ukrywam, że irytują mnie teraz jeszcze bardziej nierealne narzekania duszpasterzy, którzy pracują w środowisku czysto katolickim. Może to tak jest, że bardziej się ceni to, co się ma, gdy ma się to na sposób mało oczywisty.

Z tej krótkiej analizy ateistycznego eksperymentu społecznego, nazywanego od ponad dwustu lat Urugwajem, chciałbym wyciągnąć dwa pozytywne wnioski. Pierwszy – nie da się wykorzeńić bez śladu nadprzyrodzoności z wnętrza duszy człowieka. Można ją skutecznie przyciąć i zniekształcić, ale wykarczować nigdy. La Banda Oriental jest więc krajem niedoskonale bezbożnym, bo choć ludzi skuteczną propagandą formuje się na nowoczesnych ateistów, to jednak ów wymuszony proces zmierza zdecydowanie nie tyle do powstania perfekcyjnych struktur technicznego modernizmu, co raczej do masowej produkcji pokoleń chronicznie załamanych w wewnętrznej ignorancji. Człowiek wychowany w takim społeczeństwie nie traci odwiecznych pytań, nato-

miast traci zupełnie możliwość dojścia do pełnej, obiektywnej odpowiedzi: stąd urugwajskie społeczeństwo jest przestrzenią powszechną, poważną, groźną depresji. I chrześcijaństwo może mieć tu wszystko do powiedzenia. Kościół musi jedynie przestać nalegać w takim miejscu na swe silne, instytucjonalne i statystyczne funkcjonowanie, godząc się z marginalizacją wpływów – angażując natomiast cały swój autentyzm duchowego, egzystencjalnego i moralnego przesłania. Paradoksalnie Kościół również na tym zyskuje. Rezygnując z zewnętrznej apologii, łatwo przekształca swą strukturę w ewangeliczną wspólnotę osób mówiących do siebie tym samym językiem życia i wiary. Drugi wniosek – nigdy jednak społeczność chrześcijan nie może zawiesić walki o swój pełny udział w życiu publicznym. Kraj zniekształcony infekcją ideologicznego ateizmu potrzebuje o wiele bardziej przemyślanej reaktywacji katolickiej nauki społecznej. Wiem, że wielu katolikom głos społeczny Kościoła kojarzy się zaraz z polityką. Musi być jednak coś pomiędzy prymitywnym, dzielącym na złą lewicę i dobrą prawicę kaznodziejstwem a klęcznikową, uniesioną w oderwanych od ziemi litaniiach pobożnością. Tym czymś zdecydowanie jest udział w życiu kultury, polityki, mediów i edukacji publicznej chrześcijan laików wykształconych, ambitnych, moralnie stabilnych, którzy na wszelki wypadek nie będą przypinać sobie do koszuli żadnych obrazków z kolędy, za to swoim prawym postępowaniem wygrają bitwę o ład i sprawiedliwość. Zdrowe powietrze społeczne nie polega na siłowej katolizacji wszystkich – wszyscy bowiem mają zawsze całkowitą wolność wyboru co do spraw wiary – natomiast przejrzyste prawo, kultura lub edukacja są jak żyzna gleba, na której posiew ewangelizacji może wzrastać z publicznym pożytkiem dla wszystkich. Takich chrześcijan społeczników Kościół urugwajski musi sobie na razie wychować.

Z zaciekawieniem, od kilku tygodni, obserwuję w urugwajskich mediach ożywioną dyskusję nad propozycją, jaką złożył ratuszowi w Montevideo katolicki kardynał Daniel Sturla. Otóż od kilku lat wzdłuż turystycznego wybrzeża stolicy kraju organizowana jest raz do roku różańcowa procesja, w której uczestniczą już tysiące katolickich rodzin z dziećmi. Kardynał zatem, jako przedstawiciel episkopatu kraju, zaproponował, iż Kościół katolicki ufunduje

i utrzyma w tym miejscu figurę Matki Bożej – na tym samym spacerniaku znajdują się rozmaite rzeźby bożków koreańskich czy samego Buddy. W ratuszu zawrzało od hysterii: nietolerancja, niecna próba narzucania wszystkim jednej religii, łamanie ateistycznej konstytucji, zamach stanu nad wolnością obywateli. Z podziwem obserwuję spokój i stanowczość kardynała, z jakimi próbuje on udzielać dziennikarzom wyważonej odpowiedzi. I dumny jestem póki co ze swej polskości, bo jak dotąd jedynym pomnikiem katolickiego świętego w Urugwaju, postawionym niedaleko publicznego terminalu, jest niewysoki monument Papieża Polaka, który prawie trzydzieści lat temu odwiedził dwukrotnie najmniejszy kraj nad La Platą. ■